



Nr. 28.

10-go Lipca

1913.

STRIFNIONA KAWA.

Nieboszczyk ks. Infułat Krzemieński, był za młodu bardzo pobożnym chłopaczkiem, ale też ogromnie lubiał od czasu do czasu spletać komuś dobrego figla. O jednym z nich chętnie sam opowiadał.

Było to tak:

Jako student bawił u państwa Homdaczów w Zakopanem w charakterze nauczyciela do synów.

Otóż zdarzyło się, że ktoś w domu ciężko zachorował. Zawezwano podówczas doktora Dietla z Krakowa, który też chętnie przybył z pomocą, ale wymógł sobie, żeby po drodze były rozstawione konie, gdyż musi pilno wracać do miasta.

Jak zażądał tak się stało. A kiedy doktor szybko załatwił swoje i miał powracać, przystąpił do niego młody Józio Krzemieński z prośbą, aby go z sobą zabral do Krakowa, bo mu się nie prędko taka okazja nadarzy, a chciałby jechać z wakacyi do szkoły. Zgodził się pan doktor i pojechali razem.

Do Mogilan wszystko szło w porządku. Konie były porozstawiane, jak należy, tak, że pan doktor mógł jeszcze na postojach udzielać porady lekarskiej różnym pacjentom, zgłaszającym się do niego, na wiadomość o przejeździe tak sławnego lekarza.

W Mogilanach nie zmieniano już koni, tylko podróżni sami wstąpili do oberży na popas. Kiedy konie i ludzie dostatecznie odpoczęły, pan Dietl kazał iść Józefowi do żyda po rachunek. Józio zjadał właśnie chleb z kielbasą i tak, jak stał, — chleb w jednej ręce, kielbasa w drugiej, — idzie do sklepu.

W sklepie zastał tylko żydówkę z dzieckiem na ręku, zapijającą smacznie kawę. Skoro przedstawił swój interes, żydówka wstała i poszła szukać męża.

Z tej chwili skorzystał Józio i nie namysławiając się wiele, — macza swoją kielbasę w garnuszku z kawą, z którego pila żydówka.

— Co też ona z tem zrobi? — pomyślał.

Zaledwo jednak dobrze kielbasę umaczał, strach go wziął, że z tego może być jakaś grubsza awantura. Więc rzucił kielbasę do garnuszka, wraca do doktora i zaczyna naglić do odjazdu.

— Dobrze! dobrze; mój kawalerze! Ale co będzie z rachunkiem? — zauważył pan Dietl.

— To nie! To nie!... Jedźmy! jedźmy! — upiera się Józio — pan doktor zapłaci kiedyindziej.

— Ale cóż się stało takiego? — próbuje obserwować lekarz. — Ale Józio nie uważa na nic, ciągnie go gwałtem do powozu i tylko swoje powtarza uparcie:

— Jedźmy! panie jedźmy!

Zaledwo jednak doszli do powozu, krzyk przerażliwy, przeszył powietrze od strony sklepu...

— Aj waj! Aj waj!... Gwałt! gwałt!... Gdzie ten szlachcie!... Gdzie ten paskidnik!... Wun mnie stru! Giewalt!... Ratuście!...

To pani kupcowa tak zawoździła nad swoją strifnioną kawą.

Słyszając te krzyki, Józio, jeszcze bardziej naglił do odjazdu, ale doktor przeraził się na seryo, że to jakiś wypadek nagłego zaślabnięcia i nie pytając dalej, pobiegł w stronę, skąd krzyk dochodził. Wpada do sklepu, gdzie się już cała rodzina żydowska razem ze służbą zgromadziła i zastaje żydówkę rozkraczoną za bufetem jakby w ataku konwulsyi, lamentującą i spazmującą, że aż uszy bolały słuchać.

Długi czas nie można było z niej wydobyć, prócz tych samych wykrzykników:

— Ten szlachcie!... Ten paskidnik!... Aj waj!... Gwałt!

Pan Dietl chwycił za puls — normalny, zagląda do ust — język czysty, dotyka czoła — gorączki ani śladu, więc już zaczął przypuszczać, że ma do czynienia z jakimś atakiem histerycznego szalu.

Wtem żydówka pokazuje na garnuszek z kawą: — Tfy! tu! panie doktor!... tu on narobił!... Ach jej!... Ach jej!... Ach jej!... Ja już zaraz bende umiracz...

W tej samej chwili jeden z młodszych żydków dostrzega pływającą w garnuszku kielbasę i pokazuje ją obecnym. Na jej widok żydówka jeszcze bardziej poczyna wrzeszczeć:

— To wun! to wun!... to ten kielbas to narobił!... Ja jemu zaraz poznac! Niech pan doktor powachuje!

Doktor powachał kawę i rozsmiał się na całe gardło.

— Rozumiem już, rozumiem!... Ktoś wsadził pani kielbasę do kawy... No, no... Nic pani nie będzie... Niech się pani nie boi!

— Jaktó nie bendzi!.... Jaktó się nie boi... Ja już teraz nie żydówka... Ja już tref!... Aj waj! I moje dziecko od piersi także tref!... Aj waj!...

— Ależ pani, toż to tylko figiel niewinny.

— Jaki figiel!? Co za figiel!... Dla mnie to nie ma żaden figiel... Ja, jak żyję, jeszcze takie paskuskiwo nie kosztowała.

— Pani nie kosztowała, ale inni kosztują i jedzą ze smakiem i nic im się nie dzieje złego...

— To katoliki! to ony mają świński żołądek... Im nie szkodzi... My żydy nimamy takich mocnych żołądków. My jesteśmy kuszer!

— Kuszer, nie kuszer, z żołądkiem to nie ma nic wspólnego... Niech mi pani wierzy...

— To pan doktor tak mówi... Ale tamtem gałgan, tamten szlachcic, to on mnie pewnie chciał strucz. Ja jemu benđe do kryminalu skarżyć...

— Jaki gałgan? Jaki szlachcic?

— Ny!... ten młody szlachcic, co przyjechał z pan doktor. On tu przyszedł z tym kilbas... On mi kazał iszcz do męża po rachunek, a jak ja wróciła, to jego już nie było, tylko ten figiel od niego...

— Krzemieński?... A to huncwot — zadziwił się pocziwy pan doktor.

Kazał zawołać nieszczęsnego figlarza, a gdy tenże przyznał się do wszystkiego, sami żydzi wybuchnęli śmiechem i sprawa załagodziła się od razu. Doktor wyjaśnił żydom znaczenie koszerne go jadła, zapłacił rachunek, żydówce dał jakieś krople, uspokajające na nerwy i pożegnał całe towarzystwo w najlepszym humorze, zabierając ze sobą Józia.

Nikt im nie robił żadnych trudności w odjeździe, tylko żydówka na pożegnanie groziła jeszcze ręką Krzemieńskiemu:

— Panie szlachcic!... Panie huncwot!... Niech pan na drugi raz takie figle nie robi bez doktora, bo może być sprawa kryminalne.



OSTATNIA POCZTA.

Podobno Austrya ma dużo do roboty, bo patrząc na Serbię, musi myśleć o Rosyi, marzyć o Rumunii, mrugać na Chiny i kiwać na Japonię, trzymając się jednocześnie wszystkimi rękami buta Niemiec.



BAJECZKA NA CZASIE.

Pytał się ktoś Polaka, gdzie mu jest najlepiej, 'A on, gdy go odwaga niebywała krzepi, 'Rzekł, wzrok we trzy zabory rzuciwszy w tej dobie: „W grobie!”



SPRYTNY SZPAK.

— A czemu to pan się nie żeni, panie radco? — pyta pani, rzucając nieznacznie okiem na swoją obok stojącą córę.

— Pani dobrodziejko — odpowiada radca — małżeństwo bywa albo niebem, albo piekłem. Na niebo nie zasługuje taki grzesznik jak ja, a do piekła, któżby się pchał dobrowolnie.



W SADZIE.

Adwokat do świadka:

— Podczas śledztwa zeznał pan, że oskarżony miał wygląd inteligentnego człowieka.

— Tak jest.

— Zechce mi pan określić bliżej, jak w pańskim wyobrażeniu wygląda człowiek inteligentny.

— Niby... niby... tak... jakby... tego właśnie... niby... nie tak... ale tego...

— Ależ, mój panie, niejasno się pan wyrażasz, trudno pana zrozumieć... Czyż może pan tu pokazać człowieka, który wygląda inteligentnie?

— Nie mogę...

— Dlaczego?

— Bo mi pan adwokat z boku wszystkich zasłania



NASZE DZIECI.

Ojciec: Czekaj, ty nieponiu; nauczę ja cię palić papierosy!

Synek: Kiedy ja już umiem, proszę tatę.



EGZAMIN KSIĘCIA.

Nauczyciel: Jak się nazywa ocean położony pomiędzy Azją Wschodnią a Ameryką Zachodnią?

Książę milczy.

Nauczyciel: Świetnie to jaśnie oświecony książę uwydatnił. Jest to rzeczywiście Ocean spokoju.



ZASTĘPCA.

Doktor (do służącego): Nie był tu kto w mojej nieobecności?

Służący: Był jakiś pan, mówił, że ma coś na wątrobie. Na razie zakazałem mu pić piwa!



'AHA!

— W jaki sposób doszli Słowianie bałkańscy do zwycięstwa?

— Solidarnością.

— Aha! Więc metodą nie polską.



NIEMIERNY.

Pan: Przysięgam pani, że jeszcze nigdy kłamstwo nie przeszło przez usta moje!

Pani: Wielka mi zasługa, kiedy pan prawie zawsze mówi przez nos!



SPISAŁ SIE.

— No, i jakże wasza sikawka spisała się przy ostatnim ogniu?

— Beznagannie, brakło nam tylko wody!



PRZYJACIELE.

Był gospodarz we wsi znany,
Maciej mu na imię.
Miał kumotra, co mu syna
Trzymał do chrztu w zimie.

Gdy na chrzcinach się popili,
Wraz się pokochali
I przyrzekli, że się nigdy
Nie będą gniewali.

Żyli w zgodzie i przyjaźni,
Kochali się wzajem:
Gdy wieś szła ich przykładem,
Wnet byłaby rajem.

Lecz niestety! Cóż się stało,
Gdy wiosna nastąpiła?
Zaraz między kumotrami
Zyczliwość ustała.

Kiedy w pole wyjechali,
Tam się poważnili,
Dlatego, że sąsiadami
W jednej miedzy bli.

Bo kum Maciej chciał skorzystać
Z przyjaźni sąsiada:
Zaorał mu miedzy skibę
I stąd cała zwada.

Pokłócili się, pobili,
„Gminę“ sprowadzili;
Chociaż Maciej protestował,
Skibę odwalili.

Jednak Maciej do sąsiada
Nienawiścią plonie...
Poszedł w nocy i rozkopał
Skibę na zagonie.

Z tego teraz całe piekło,
Sądy, komisye —
A nasz Maciek co wieczora
Na strapienie pije.

A pieniędzy na procesy
Pożycza u żyda...
Ej, ty Maćku, ślepy czleku,
Będzie z tego bieda...

—★—

SKUTECZNA GROŹBA.

Pewna pani nie chciała dentyście zapłacić za zęby, mimo groźb. Wtedy tak do niej napisał:

Ogłoszę w gazetach następujący anons:
„Tanio do sprzedania jest nowa szczeka, którą można oglądać w ustach pani I.“

Za dwie godziny miał już pieniądze.

—★—

DWA POCIĄGI.

— Czy uwierzysz, że N. znajdował się w dwóch pociągach jednocześnie?

— Jakim sposobem?

— Jadąc pociągiem pospiesznym, miał do sąsiadki pociąg miłosny.

—★—

CZULY FRYZYER.

— Przepraszam pana jak najmocniej lecz włosów żadną miarą spuścić nie mogę, należę bowiem do towarzystwa opieki nad zwierzętami — i żal by mi było tych zwierzątek których bym pozbawił ochrony na czcigodnej głowie pana.

—★—

TOAST.

Na wieńcu miał pan polier murarski przemowę, której końcowy ustęp brzmi:

— Praktyczny umie, ale nie roznimie, teoretyczny rozumie, ale nie umie. Zaś ten co umie i rozumie, to jest polier murarski. A więc niech żyje!!!

—★—

ZAGADKA.

— Czego wy się tak cieszyć, dzieci.

— Bo ojciec wymalował nowy obraz i my musimy jutro zgadywać, co on przedstawia.

—★—

BANDYCI W ZACHWYCIE.

— Przypatrz no się, Antek, jaka to piękna miejscowość. Naokoło pola, łąki i lasy, a ani jednego policyanta.

—★—



Francya: Sacre Dieu! A to widzę u sąsiada pieczywo już gotowe. Trzeba się tedy żywo zabrać do roboty a zobaczmy, kto więcej napiecze.

FILOZOFIA.

— Mój Boże! Jak to na tym świecie niejedno niesprawiedliwie jest urządzonem! — pomyślał sobie pewien filozof widząc szybującą w przestworzach jaskółkę i krowę, pasącą się na małej łączce wśród skał. — Takie wielkie zwierzę na tak małej przestrzeni, gdy tymczasem mała jaskółka panuje nad takimi obszarami, jest wolną, może latać, gdzie chce i robić, co chce...

Te rozmyślenia przerwało mu niespodziewane zdarzenie. Coś ciepłego i miękkiego spadło mu na sam nos...

— A jednak to przecież dobrze — dodał po chwili — że krowy nie mogą latać!....



KUMA DO KUMY.

— Moja Janowo, pozostało się u was tyle jadła z wczorajszego pogrzebu waszego Kuby, iż gdybym była na waszym miejscu, tobym zaraz o weselisku pomyślała.



W SĄDZIE.

— Jak mogłeś rodzonemu bratu wybić trzy zęby!

— E, proszę pana sędziego, jak to człowiek chce, to wszystko potrafi.



POEZJA I PROZA.

— Pod tym rozłożystym dębem moja przyjaciółko — mówi poeta do wiejskiej kobiety, — zbierałem pokarm dla moich prac.

— Olo Boga! to chyba niepodobne, boć pan przecież nie jest wieprzkiem, który się karmi żołędziami.



RÓŻNICA.

Kapral: Po czym rozróżnia się kapitana od oficera — pyta się kapral rekruta.

Rekrut: Skądżebym ja to mógł wiedzieć?

Kapral: Ty durniu, nie rozróżnisz jak widzę nawet osła od wołu.



DZIWNE PODOBIENSTWO.

— Wiesz co Karolu, ten pan, z którym przed chwilą rozmawiałeś, dziwnie mi ciębie przypomina.

— To szczególnie, przecież ja jestem mały, a on wysoki, ja łysy, a on z lwią grzywą, ja z zarostem, a on wygolony. Nie pojmuję więc, z czego on jest do mnie podobny.

— Z tego, że jak ty pożyczył odemnie rok temu sto marek i dotąd mi ich nie oddał.



Wdówka: Nikt nie zdoła zająć miejsca mego ukochanego zmarłego męża...

Kawaler: Ja... chciałem...

Wdówka: O, to co innego! Kiedy pan chce...

Kawaler: Ja chciałem... powiedzieć, że to bardzo ładnie z pani strony.



Sędzia: Jakim sposobem może pani wiedzieć, dokładnie, że to było piątego lutego, kiedy pani spotkała się z oskarżonym?

Świadek (zawstydzona): Zaraz bowiem po tem, spotkałam się z mym narzeczoną i był to dzień, w którym otrzymałam pierwszy pocałunek.



Zły urzędnik powiedział raz o drugim, że jest największym łotrem.

Na to jeden z obecnych:

— Zapominasz pan siebie.



Dwaj adwokaci stron przeciwnych ostro się w sądzie cieli, a z sądu wzięwszy się pod ręce, wracali w zgodzie do domu. Jeden wyraził zdziwienie z tego powodu, a adwokat:

— My jesteśmy jak dwie połowy nożyc, które tną to tylko, co między nie wpadnie.



Chory: Doktorze, febra mnie już opuściła.

Doktor: Tom poznał z pańskiej mowy, bo jak było źle, toś pan mówił: kochany doktorku, a teraz tylko: doktorze!



DYPLOMATY.



Młody hrabia: Nie wiem skąd to pochodzi, że do kuropatwy zawsze chybiem.

Leśny: Pan hrabia ma za dobre serce!